

Zakład a środowisko

Powstanie bazy górniczo-energetycznej w ekonomicznie zacofanym do niedawna regionie konińskim wywiera ogromny wpływ na wszystkie dziedziny życia ludności tej ziemi. Zwłaszcza, że proces uprzemysłowienia został tu właściwie dopiero zapoczątkowany i że kopalnia wraz z elektrownią stanowią zaledwie pierwsze jego „jaskółki”, można — uświadomiwszy sobie jakie zmiany zostały już dokonane — wyrobić sobie pogląd na wpływ, który na rozwój społeczny powiatu konińskiego wywierać będzie przemysł w ciągu najbliższych lat.

Przed wszystkim dalszym szybkim przeobrażeniem ulegać będzie struktura społeczno-zawodowa ludności. Nastąpi to zarówno w wyniku rekrutacji do nowych zajęć przemysłowych nadwyżek siły roboczej oraz szkolenia zawodowego pracowników już zatrudnionych, jak i w wyniku kształcenia w uczelniach, zawodowych młodych kadr specjalistów. Już dziś liczne miasteczka i wsie powiatu konińskiego zawdzięczają istnieniu zakładom likwidację jawnego i zmniejszenie utajonego bezrobocia oraz wzrost zażyłości i kultury swoich obywateli. Na przykład w na ogół rolniczym miasteczku Slesin, liczącym wg danych z sierpnia 1960 r. 2082 mieszkańców, spośród 271 zatrudnionych w zakładach pozarolniczych 1917 osób pracuje w kopalni.

W związku z rozwojem przemysłu wzrosło wśród młodzieży zainteresowanie zawodami technicznymi. Na przykład w roku szkolnym 1960/1961 zgłosiło się do Zasadniczej Szkoły Górniczej w Marantowie 420 kandydatów, spośród których zakwalifikowano z braku sal szkolnych i pomieszczeń w internatach zaledwie 164. Pozostali zmuszeni są zapisywać się do szkół w innych powiatach.

Tradycyjne wyobrażenia o zawodzie, jakkolwiek wciąż jeszcze żywe w świadomości starszego pokolenia, stopniowo ustępują miejsca pojęciom nowym. Najbardziej podatna na ich przyjęcie jest młodzież. Byłoby jednak błędem sądzić, że przyswajają one sobie nowe pojęcia w sposób żywiołowy. Właściwym przygotowaniem młodego pokolenia do pracy i życia w nowych warunkach, które znamionuje burzliwy rozwój mechanizacji i automatyzacji, winna zająć się szkoła. Nawet w krajach wysoko uprzemysłowionych stawia się szkole zarzut, że wychowuje chłopców i dziewczęta tak, jak gdyby miały one w przyszłości zająć miejsce w tradycyjnym systemie produkcji. Tym bardziej w warunkach polskich, w kraju, który dopiero po drugiej wojnie światowej przystąpił do likwidacji wiekowego zacofania w dziedzinie gospodarczej, szkoła i system nauczania — jak na to wskazują również przykłady szkół konińskich — nie zapewniają jeszcze uczniom wiedzy i zainteresowań w pełni adekwatnych do potrzeb „ery automatyzacji”. Szkoły zawodowe w Koninie odczuwają dotkliwie brak wykwalifikowanych kadr, zwłaszcza nauczycieli zawodu. Wykładowcy w tych szkołach inżynierowie z produkcji nie zawsze posiadają niezbędne doświadczenie pedagogiczne, a poza tym, przeciążeni zajęciami służbowymi w zakładzie pracy, za mało uwagi poświęcają zagadnieniom wychowawczym.

Niemniej jednak jest zjawiskiem pociesającym, że technika i perspektywy, które otwiera ona przed człowiekiem, urzekają dziś naszą młodzież w nie mniejszym stopniu niż wspomnienia o bohaterskich czynach żołnierskich.

Szczególnie wysoki prestiż zyskuje w oczach opinii publicznej stanowisko i zawód inżyniera. Uwidoczniła się to m. in. w tym, że inżynier stał się poszukiwanym kandydatem do małżeństwa.

W opinii środowisk drobnomieszczańskich, małżeństwo z inżynierem uważane jest za „dobrą partię”, gdyż zapewnia kobiecie zamożność i wysoką pozycję społeczną. W ostatnich latach małżeństwa inżynierów z miejscowymi dziewczętami stają się zjawiskiem coraz częstszym. W r. 1960 było siedem takich wypadków.

Dla społeczności miejsko-przemysłowej charakterystyczne jest to, że w przeciwieństwie do tradycyjnej społeczności wiejskiej odznacza się ona wielką różnorodnością, tak pod względem silnie zróżnicowanej struktury społeczno-zawodowej, jak i, co za tym idzie, wyznawanych zasad moralnych, norm obyczajowych, sposobów postępowania itd. Na skutek tego w życiu każdej takiej zbiorowości pojawiają

się oznaki dezorganizacji społecznej. Występują one z tym większym nasileniem, im bardziej gruntowna jest zmiana sytuacji życiowej ludzi przeniesionych do miasta z innych warunków bytowania. Kiedy tradycyjny system kontroli społecznej i kryteria wartościowania ulegają rozpadowi, a nowe wzory zachowania się nie zdołały się jeszcze ukształtować, następuje wzrost przestępczości, prostytucji, pijanstwa, chuligaństwa itp., typowe objawy dezorganizacji społecznej.

Na terenie nowo powstałych osiedli przemysłowych w rejonie Konina zjawiska dezorganizacji nie wystąpiły z takim nasileniem, ani też w postaci tak drastycznej, jak to miało miejsce w innych tego typu miejscowościach w Polsce. Przede wszystkim należy to zawdzięczać temu, że akcja osadnicza przeprowadzana tu była w zasadzie planowo.

Jednym z najbardziej istotnych problemów współżycia społecznego ludności powiatu, jest sprawa stosunków wzajemnych między mieszkańcami „starego” i „nowego” Konina. Nowe osiedle staje się w coraz większym stopniu reprezentatywne dla miasta Konina jako całości, ono bowiem wyznacza perspektywę miastu, jest obrazem, w tej chwili jeszcze miniaturowym, jego świetnej przyszłości. Toteż stanowi przedmiot dumy wszystkich obywateli, w tej liczbie także z dawna osiadłych mieszkańców. Związane z okazji zetknięcia z ludźmi spoza powiatu mieszkańcy Konina szczerzą się swoim nowym miastem i chętnie rozprawiają na temat planów jego rozwoju. Z drugiej jednak strony przeżywają oni zarazem — jak już przy innej okazji o tym wspominaliśmy — swoiste uczucie zazdrości, które każe im ujmować mieszkańców starego i nowego Konina w kategoriach „my i oni”. Zdarza się na przykład często słyszeć

Dokończenie na str. 3

Piotr Życki

Jak na dłoni

Powiat nie stóg, samochód nie szpilka. A jednak... Kobieta cierpliwie kręci korbką, zwisającą z pudła scenicznego telefonu. Pudło jest nienowoczesne, pamięta chyba czasy Wilusia. Jakichże rozmów musiałoby być pośrednikiem?

Kobieta wytrwale obraca korbką, żąda od rawickiej centrali coraz nowszych połączeń, z kimś się wykić, ba, interpeluje przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady. Wreszcie zrezygnowanym ruchem odwraca słuchawkę.

— Nie wiem. Nie ma go. Ani w prezydium, ani w komitecie ZSL-u. Musieli pojechać na spółdzielnię. Ja wiem? Może do Piasków. Niech pan spróbuje poszukać. Samochód jest rolnictwa, takie czarne BMW.

Spróbuję. Właściwie powinienem już wyjść, ale przedłużam pobyt o minutę. W izbie nastała cisza, cisza tętniąca życiem. Pół bochna chleba i odwinęta kostka masła na stole, w kącie pralka, którą Lutowa musiała przed chwilą wyłączyć, bo bielizny mokrej obok całej stopy w misce, skądś dobiega głos spikera radiowego i na półeczce te trzy czerwone pudełeczka. Martwa natura naszych czasów.

Za oknem, na spółdzielczym podwórzu, pyka traktor, gdy otwieram kolejno szkarłatne etui. Chłopak, nazwany przez Lutową Stasiem czy może Jassem, który wtargnął nagle do izby, oznajmia bez wstępów, że czyjaś babcia wyzionęła ducha.

Złoty, potem Odrodzenia i ten trzeci, Sztandar Pracy. Może mniej wyszukany w kształcie, ale ważniejszy. Biel — czerwień — błękit. Błękitny strój człowieka pracy, idącego z rozwiniętym sztandarem. Chwilę trzymam wyjęty z pudełka order na dłoni.

— Teraz mąż dostał. Sztandar Pracy drugiej klasy — i kobieta wiąże silnik pralki.

*

Stóg nie stóg, ale labirynt dróg. Jak znaleźć fachowo opisane przez Lutową „czarne BMW”? Próbuję zatonąć na piaszczystym trakcie. Szkoda, że to zima. Latem tu musi być diabelnie uroczo. Pół kilometra alei obsadzonej wyniosłymi topolami. Na końcu alei eksfolwark: spółdzielnia produkcyjna. Droga do spółdzielni jest piękna, tylko to błoto. Droga spółdzielczości rolniczej jest prosta — gdyby nie topiel ludzkiego zacofania. Jak to mówił spec od rawickiego rolnictwa, sekretarz komitetu partyjnego — Lis:

— Możesz, człowieku, jak na dłoni pokazać, jakie płyną z wspólnego gospodarowania korzyści, wylczyć fachowo z ołówkiem w rękę, poprzez zdaniem agronoma i kogoś tam chcesz — są tacy, którzy nie wierzą.

Ano, wiara, rzecz — powiadają — nienowoczesna. Za to argumenty, konkrety, które można sprawdzić... Wiele zależy od tego, jak je podać. W Izbicach potrafią przyszywać dobrze strawne dania: wspólne zebranki kółka rolnicze z dorocznym obrachunkiem spółdzielni. Na deser — ogólna zabawa w sto dwadzieścia swoich osób.

Na „potanie” znajdzie się troszeczkę czasu na rachowanie. Nie tylko kieliszków. Czterech miodziaków z „indywidualnego” obliczają na przykład razem z przewodniczącym Lutym, że w lesie, czy gdzie tam chodzą robić, biorą miesięcznie 900—1000 zł. A w spółdzielni, według tegorocznej dniówki, mieliby najwyżej 1.250 zł. I na miejscu.

Potem jeden ze swoich — Edek Musioł, kropnął parę kawałków na akordeonie, zaśpiewał. Jeszcze potem włączyli telewizor — to dla starszych — a młodzi ruszyli do tańca, zgodnie z rytmem, dyktowanym przez adapter.

Pół „czerwoności” zarobku dziennie — to dużo czy mało? Zależy. W Izbicach mówią, że mało; w tym

roku chcą „wyciągnąć” 65 złotych. Niedalekie Szemzdrowo osiągnęło coś koło tego już obecnie. A podkościańskie Gorzyce... Wiadomo, milionierzy: „zakosili” stówkę dziennie.

Ale do tego trzeba umieć kalkulować. W Izbicach już się nauczyli. 65 złotych, to nie jest sennie marzenie ani sufitowa liczba. To 100 tysięcy sadzonek pomidorów, zamówionych przez Pudliszki, to 6 hektarów lnu na nasienie najwyższej jakości, to dochód z sprzedaży mleka od dwudziestu nowo zakupywanych hodowlanych krów.

A więc — jak to określił sekretarz Lis? „Nastąpiło dalsze umocnienie sektora socjalistycznego w powiecie”.

Jest! Jest czarne BMW. Młaska błoto, ustępując pod gumami kół. Bronisław Luty, chłop spod Rawicza. Przewodniczący Rady Centralnej Związku Spółdzielczości Produkcyjnej w Warszawie. Człowiek, który prowadził cały dzień obrady Krajowego Zjazdu delegatów z powiatowych gospodarstw z całej Polski.

Odłożmy wielkie sprawy na kiedy indziej. Interesuje mnie spółdzielnia dzień powszedni. Izbyce są ciekawe. Tu powstała myśl zjednoczenia trzech, leżących na wspólnej prostej, kolektywów: Izbyce — Łaszczyna — Sarnówki. Czy to ma jakieś znaczenie — razem czy osobno? Ma. Narzekacie, że czasem trochę brakuje mleka, albo szukać trzeba twarogu, z warzywami kruchoch? To się wiąże z produkcją. Małe gospodarstwo prawie nie sprzedaje, domownicy mleko, jajka i kartofle zjedzą. Zespołowe gospodarstwo produkuje dużo, produkuje na sprzedaż. Ale najwięcej i najtańiej może wytwarzać kombinat: dzięki maszynom, podziałowi pracy, specjalizacji.

Izbyce — Łaszczyna — Sarnówka — to mógłby być spółdzielczy kombinat. Izbyce — ogrodnictwo. Łaszczyna — hodowla obora; Sarnówka — wychów świń. Razem 300 hektarów łąk. Pół miliona daje przemysł mięsny na rozwinięcie produkcji bekonów. 800 tysięcy Wojewódzki Związek Spółdzielni — na rozwój hodowli bydła. Zjednoczone spółdzielnie co roku mogą liczyć na pół miliona z Funduszu Rozwoju Rolnictwa.

Więc — bracie, nie czekać? Zebranie, uchwała, protokół, nowy zarząd i... No, tak szybko to nie idzie. Mamy demokrację. Każdy ma prawo głosu. Zatem gadają, zwłaszcza

Dokończenie na str. 3

Gerard Górnicki

podróż

Henryk Gardo wszedł do wagonu pierwszej klasy. Zapukał do drzwi zamkniętego przedziału. Nie było odpowiedzi. Patrząc przez szybę, domyślał się, że w nieoswieflonym przedziale ktoś jest. Czuł to przez drzwi.

— Proszę otworzyć — powiedział nadsłuchując.

— Proszę otworzyć — zapukał znów.

Drzwi rozsunęły się ze szcękaniem. „Jednak ktoś jest” — pomyślał. W drzwiach ukazała się kobieta o czarnych włosach. Henryk wszedł do przedziału i zapalił światło. Zmrużył oczy. Powiódł wzrokiem po łóżkach obecnych. Spozstrzegł, że swoim wejściem przerwał rozmowę i wtargnął w ich

tryb życia, ustalony na czas podróży. Zdjął płaszcz i powiesił go przy drzwiach. Siadł na wolnym miejscu, twarzą w kierunku jazdy. Milczenie zaczęło się dłużyć, Henryk nabrał zupełnej pewności, że on je spowodował. Mężczyzna siedzący naprzeciwko, przy oknie, wlepił w niego oczy.

Gdy pociąg ruszył, Henryk wyszedł na korytarz. Za oknem tylko noc. Zaczęło się oczekiwanie na świt. Z nim, w przedziale podniósł się szep. Henryk wrócił na swoje miejsce. Otoczyło go intymne, nieznosne milczenie.

Wsunął twarz w fałdy płaszcza, ale nie spał. Siedział nieruchomo i co pewien czas otwierał oczy. Ktoś zgasił w przedziale światło. Henryk słuchał, jak koła wagonu stukają o szyny.

— Nie może pani zasnąć? — zapytał mężczyzna, siedzący przy oknie.

— Nie.

— Ja też nie mogę.

— Nie jest pan zmęczony?

— Żle śpiam w podróży.

— Ja nie śpię nigdy w pociągu.

Zapaliła papierosa. Siedziała obok Henryka. Henryk wiedział, że ma ona czarne włosy i zieloną sukienkę. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie należy przejść do innego przedziału, dla

niepalących. W powietrzu unosił się dym. Było ciepło. „Ale jest tutaj niezła” — pomyślał. W migającym świetle mijanych stacyjek ukazywało się wnętrze przedziału. Wyglądało wówczas jak scena w teatrze w chwili podnoszenia kurtyny, kiedy aktorzy mają rozpocząć grę. Było po północy. Nikt nie spał.

Henryk rozpiął kołnierzyk i rozluźnił krawat. Był zmęczony i czuł pragnienie. Piersi paliły go w środku. Zakaszłał, do usł przyklnął chusteczkę. Przymknął powieki. Głowę oparł o pluszowe obicie. Próbował przypomnieć sobie szczegóły tego, co mu się owe go dnia zdarzyło, zaczynając od chwili wejścia do restauracji. Po kolacji poszedł z dziewczyną na dancing. Zaraz na początku rozmowy — w tańcu — powiedział, że musi mu być źle na świecie i rzuciła przez ramię cichym głosem: „Nie martw się”. „Skąd wiesz?” — zapytał. „Nic nie wiem. To po prostu widać.” Tak sądziła z jego twarzy i oczu. Światło na sali było żółte. Miał zapewne twarz chorego człowieka. Wypił z nią prawie litr wódki, palił jej papierosa, bo własnych nie miał. Czuł gorąco w skroniach. A gdy powiedziała mu, że nie trzeba się poddawać i brzuchem przylgnęła do niego, ude-

rzył ją w twarz. „Nie jestem pijany... Słyszysz? I nie chcę od ciebie szczęścia. Chcę być człowiekiem, zostać choćby strzępem człowieka, ale nim zostać. Nie dam sobie wybebeszyć wnętrza i napelnąć je samym nektałem szczęśliwości. Żeby przestał być człowiekiem? Co? I myślisz, że dasz mi rajskie szczęście? Ty... odkupicielko...” Podszedł do stolika i wypił kieliszek wódki. Wyszedł. Wrócił powoli do domu. Stał przed lustrem i powiedział: „Wcale nie jestem nieszczęśliwy.” Zrzucił płaszcz na krzesło, usiadł i zaczął gorączkowo studiować rozkład jazdy... Drgnął nagle. Wydało się mu, jakby ta dziewczyna stanęła przy nim i ukradkiem wyciągnęła do niego rękę, jakby w jej młodych oczach wyczytała, że chciała mu dać radość życia. Poczuł nienawiść do niej i do całej zgrai psychiatrów, kapłanów, pedagogów i prostytutek i do wszystkich, którzy z poświęceniem chcieli go leczyć rajskim jabłkiem, światłem i powietrzem. Odwrócił jego wzrok od Meduzy. Roztrzaskany obraz świata posklejać i zdrutować. Czyhali na jego zbawienie, czystość duszy i wewnętrzny spokój. „To nie tak — szepnął — sprawy te wyglądają inaczej, nie tak...”

ciąg dalszy na str. 2

Pejzaż z Kuźnicy



Linoryt Andrzeja Jeziorkowskiego

Jaki właściwie jest Poznań?

rowadził:

Kiedy taki, świadczący o narodzinach potrzeb kulturalnych u najmłodszej latorośli, okrzyk rozlegnie się w domu — wiadomo już doskonale, że oto rodzinie przybył jeszcze jeden wielbiciel uroków X Muzy, miejscowej zaś kinematografii, jeszcze jeden widz. Widz, który wprowadzi na razie swe tęsknoty filmowe zaspokaja jedynie za zgodą mamy lub taty, za biletu płaci po łowę, a za ideał bohatera ekranu u waży wyłącznie królową Śnieżkę i disneyowskiego Piotrusia Pana — ale którego potrzebę na pewno nie wolno sobie lekceważyć.

Jaki by bowiem nie był wpływ owych Śnieżkowych perypetii, czy przysług Piotrusia na kształtowanie młodocianych upodobań kulturalnych — nie jak dotychczas nie wskazuje na to, by zjawili się inni, w miejsce filmu, dziecięcy magnes, wciągający najmłodszych w krag stałych odbiorców dóbr kulturalnych. O tym, czy dziecięca ciekawość przekształca się w trwały nawyk, zdecydowały oczywiście rodzice czy — później nieco — wychowawcy. Najlepsza jednak wola jednych i drugich niewiele zdziała, jeśli przyjdzie jej główne boje staczać w sferze przeszkód tzw. natury obiektywnej.

Czyż są jeszcze takie w XX wieku, wieku telewizji i to w mieście roszcującym sobie pretensje (przynajmniej raz w roku), do europejskości? — spytaście. Niestety, są. Wymienił Wam je każdy, kto raz dziecięciu zawołał: „Chodźmy do kina!” pragnął zadość uczynić. Mały „pochłaniacz emocji”, dostarczanych przez Disneya lub rodzimą wytwórnię filmów kukiełkowych,

nie ma jeszcze skali porównawczej i nie wie, że sala kinowa mogłaby być piękniejsza od tej, w której się znajduje. Towarzyszący mu stary bywał kinowy zaczyna jednak robić kalkulacje.

Ne mamy w Poznaniu kin dla dzieci? Wojewódzki Zarząd Kin podaje imponującą liczbę sześciu; do tego dodaje jedno kino młodzieżowe: „Czternastkę”. Przyjrzyjmy się tej szóstce bliżej: oto „Gwiazda” — przy Al. Marcinkowskiego, „Malta” ul. Filipińska, „Osiedle”, ul. Limbo

Wanda Chila

Mamo, chodźmy do kina!

wa, „Piast”, Starołęka, „Warta” ul. Czerwonej Armii i „Hutnik” Antoninek. Okazuje się, że prócz dwu — mieszczą się one na peryferiach. Do dyspozycji małych kłommanów samego miasta, a jest ich chyba wielu, pozostają dwa kina, przy czym warto tu od razu dodać, że grają one dla dzieci tylko w niedzielne po ranki. Według opinii WZK poranki te zaspokajają w pełni dziecięce potrzeby. „Gwiazda” i „Warta” próbowały ponoć grać kiedyś po ranki w ciągu tygodnia i pomysł spalił na panewce. Czy jednak nie był to po prostu rezultat braku czasu u pracujących rodziców? Chyba tak. Świadczy o tym stałe nadkom-

plety na porankach dziecięcych w niedziele. Może więc warto by otworzyć dla bajek i historyjek rysunkowych podwoje innych kin?

Tutaj staje przed nami problem nr 2. Na seanse dziecięce spręda się bilety po cenach niższych, a ta oczywiście wiąże się bar dzo ściśle z mizerną „aparycją” — tudzież przestrzennością kina. Tzw. „zeroekranowe”, estetycznie urzą dzone, przestronne, wyposażone w dobrą wentylację kina nie mogą o czywiście przyjąć w swe ładnie po-

na, bo maciupenka poczekalnia-ko rytarz, pełna jest już dzieci, hałas i zaduch. Nie inaczej wygląda ten obrazek przed „Wartą”.

Brak poczekalni — to zresztą nie jedyny problem. Kina z których mogą korzystać dzieci, należą do najgorszej kategorii w mieście, mają złą wentylację, stare, twarde i skrzypiące krzesła, często wręcz brudne. Zdajemy sobie sprawę z tego, że co tańsze — to gorsze, wydajemy nam się jednak, iż w tym wypadku należałoby jednak ustąpić nieco z pozycji merkantylnych i zrobić miejsce względem wychowawczo-społecznym. Dziecko, choć płaci tylko połowę, to jednak widzi, któremu należą się normalne, a ile nie szczególne względy, o czym już gdzieś indziej — np. w teatrach — na ogół się pamięta.

Na zakończenie jedna propozycja. Oczywiście wszystkie te uwagi, które wypłynęły prosto spod stroska nych serc rodzicielskich, przytoczyliśmy tu nie po to, by od jutra domagać się zmian, lecz po to, by zwrócić uwagę czynników odpowiedzialnych na istniejący, naszym zdaniem problem kin dziecięcych. Nie rozwiążemy go od razu, choć może pomogłoby nieco przeniesienie dziecięcych spektakli do kina przyzwoltszego. Można jednak i trzeba pamiętać o tej sprawie, myśląc o przyszłości. Dowiadujemy się, że w tym roku ma być gruntownie remontowane niewielkie (i nie „zeroekranowe”) kino „Muza”. Może by zatem przeprowadzić ten remont z myślą o najmłodszym widzu i jemu ten odwieś żony i odpowiednio wyposażony obiekt ofiarować?

podobnie

Ciąg dalszy ze str. 2

mówiła coś tak cicho, że mężczyzna musiał do niej schylić głowę. „Jak ci na imię?” — spytał. „Urszula” — odpowiedziała. „Spotkamy się dzisiaj wieczorem?” „Owszem, możemy się spotkać”. Po chwili którejś z nich wymieniło nazwę kawiarni „Biały Jar”. Znowu oboje umilkli, jakby nie dowierzali własnym słowom. Henryk oparł głowę o ścianę, przymknął oczy. Cisza. Poczuł, jak ogarnia go spokój nocy. Tylko myśl o Marii poczęła niespostrzeżenie wiązać się z tymi drobnymi wydarzeniami ostatniej godziny, spędzonej w ciemnym przedziale.

Nie protestował, gdy Maria postanowiła wyjechać w góry. Odprowadził ją na dworzec. W chwili pożegnania odwrócił twarz w stronę człowieka z czerwoną czapką. Nie był pewny, czy Maria doszłzegła w jego oczach smutną rezygnację. Pożalował wtedy zaraz tego jednego ruchu głową, zdradził się mimowoli z niedorzecznych myśli. Szepnął: „Powiedz mi, co mam robić bez ciebie?”. Przynęła się blisko do niego. Spojrzał na jej iwarz, była senna. Nie mógł już nic więcej do niej powiedzieć. Ona go wyręczyła, mówiąc, że gdyby nie jego praca, byłby to ich najpiękniejszy urlop. Pensjonat cieszy się sławą, leży na skraju pięknego lasu, wysoko, obok świątyni „Wang”, którą powinni koniecznie zobaczyć. Wymieniła kilka nazwisk osób, udających się tam co roku. Dodała coś jeszcze, zarumieniła się pod wpływem nagłej emocji, mówiła wszystkim serio. Wtedy rzekł: „Dam sobie radę. Naprawdę”. Spojrzał na jej twarz lekko pomarszczoną pod oczami. Powiedział: „Jest mi zawsze przykro, kiedy chodzisz taka zmęczona. Jedź, nawet na koniec świata!” Śmiała się serdecznie. Zgodził się w myśli z tym, co Maria powiedziała, że góry są dla niej poezją, widokiem i areną wyczynów, chociaż ogarniał go niepokój i zdumienie, że potrafiła tak właśnie powiedzieć, a on tego nie rozumiał.

Polem zaczął się nagle bać samotności. Wydało mu się, że pragnienie spotkania się z Marią jest zwykłą rzeczą w każdym szczęśliwym małżeństwie... Świat jest najcięższą porą dnia i nocy... Będzie gorąca, drażni go będą jej sennie ruchy, ale natychmiast pośpiechem, zanim powie choć kilka zdań o swojej podróży, znajdzie się już w jej ramionach, nie wiedząc w rozłgnięciu, jak to się stało...

Wstuchal się w stukot kół pociągu. Ale nie mógł zasnąć. Ona, siedząca po jego lewej stronie, też bała się zamknąć oczy w ciemności, aby nie widzieć wyraźnie całego swojego życia. Palita papierosa. Henryk — kiedy zdarzały się takie noce — nie mógł sobie przypomnieć nawet tego, jaką sukienkę miała na sobie Maria w dniu ich ślubu.

Poruszył się, aby towarzysze podróży wiedzieli, że nie śpi. Dokuczało mu lekkie zdrętwienie mięśni od siedzenia w jednej pozycji. Myślieli zapewne, że nadśluchuje, a on zajęty był tylko sobą. Poruszyli się i oni na swoich miejscach.

Hałas pędzącego pociągu dochodził teraz z korytarza. Firanka odgrządała przedział od oświetlonego korytarza. „Tam jest światło — pomyślał — a tutaj obok rajske jabłko. Tylko ręką sięgnąć. Jest więc wszystko, czego dusza zapagnie — światło, powietrze i okazja do grzechu. Można by być wcale szczęśliwym...”

— Zepali pan — brunetka zapytała tym razem Henryka.
— Dziękuję, nie palę.
— Nie wierzę.
— Nie palę. Ale pani dużo pali.
— No co?
— Pani dokąd jedzie?
— Do samego końca.
— Ja też do końca. Ale potem jeszcze autobusem.
— Mamy przed sobą cztery godziny jazdy.
— Tak. Nie spróbuje pani zasnąć?
— Nie. — Dodała. — Pan jest pozbawiony fantazji. Zupełnie.
— Ja?
— Namawia pan kobietę do spania podczas podróży, kiedy można zawrzeć nową znajomość. Czy tak postępują prawdziwi mężczyźni?

— Oczywiście. Nie mam wyobraźni. Albo nie jestem prawdziwym mężczyzną? Pani pozwoli, nazywam się... — wstał.

— Nie chcę tego wiedzieć. Niech pan siada. Już pana poznałam.

Po chwili dodała:

— Pan jest bardzo miły i bardzo... Przepraszam pana — popatrzyła w podłogę.

Dokończenie na str. 4

ZAKŁAD a ŚRODOWISKO

Dokończenie ze str. 1

takie zdania: „U nas też się coś niecoś buduje”, albo: „Oni za to nie mają takiego ładnego parku jak my”.

Tak więc, skądinąd jak najbardziej optymistycznie nastrojające przemiany, znamionujące awans gospodarczy i kulturalny Ziemi Koniskiej i całego tamtejszego społeczeństwa, powodują jednak z drugiej strony różnicowanie się tego społeczeństwa. Powstają nowe kategorie ludzi upośledzonych i uprzywilejowanych, zadowolonych i niezadowolonych. Nie jest to oczywiście różnicowanie nawet w przybliżeniu tak brzemienne w skutki społeczne i polityczne, jak rozwarstwienie klasowe, ale działanie zgodne z socjalistycznymi ideałami sprawiedliwości nie może jego istnienia ignorować. W planowaniu różnych dziedzin życia gospodarczego i kulturalnego, w szczególności zaś w prelimitowaniu na te cele określonych funduszy należy w każdym razie brać pod uwagę istnienie tego paradoksu, który w swoich najbardziej powszechnych przejawach polega po prostu na tym, że szczęście, które spotyka jednego bliźniego, nie zawsze sprawia satysfakcję drugiemu. Związka, jeśli temu drugiemu nie stwarza się realnych nadziei na to, że szczęście stanie się także i jego udziałem. Niektóre inwestycje, takie jak na przykład budowa nowego stadionu, zlokalizowanego mniej więcej w połowie drogi między „starym” a „nowym” Koninem, przyczyniają się do zespolenia obydwu zespołów urbanistycznych.

Ogólne wnioski, jakie nasuwają się z dokonanego w pracy przedstawienia sytuacji w zakładach pracy oraz z analizy postaw pracowników wobec pracy i przedsiębiorstwa, wobec społeczności zakładowej i środowiska, nie są rewelacją. Można by je mianowicie wyrazić, cytując znane powiedzenie Lenina o tym, że „największa w dziejach ludzkości przemiana pracy pod przymusem w pracę dla samego siebie nie może być dokonana bez tarć, trudności, konfliktów”.

Budowniczym nowego życia stają tu na drodze bolączki odziedziczone po dawnych, feudalnych jeszcze i kapitalistycznych czasach, ich swobodę działania krepują stare, dawno przeżyte stosunki społeczne i przestarzałe sposoby myślenia. Jeśli mimo to Kopalnia Węgla Brunatnego „Konin” oraz Elektrownia „Konin” potrafiły uzyskać miłośno produkującego w skali krajowej zakładu pracy w danej dziedzinie produkcji — to jest to tylko dowód, że rzetelny wysiłek rozumu, woli i mięśni nie idzie na marne. Ze zmieniającą oblicze jakiegoś kawałka ziemi, można także zmienić ludzi...

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

Zdaniem kierowników poznańskich szkół podstawowych, ocena wyników nauczania za II okres (od połowy listopada do końca stycznia) wypadła zadowalająco. Do takich samych wniosków można dojść zapoznając się ze statystyką, którą prowadzi każda szkoła. W porównaniu bowiem z I okresem liczba „dwojkowiczów” znacznie się zmniejszyła. Największy zaś spadek dwójnotuje się w obecnym, trzecim okresie. Na podstawie tej optymistycznej prognozy tylko minimalny procent uczniów powinien repetować.

Tymczasem, jak wiadomo, drugoroczność jest zmartwieniem kierowników szkół podstawowych. Klasy powtarzają nie tylko leniuchy i wagarowicze czy uczniowie o mniejszych zdolnościach, ale i tacy, którzy posiadają wszystkie dane, by należec do prymusów.

Wszystko zależy od startu

Spadek ocen niedostatecznych w II okresie jest na pewno zjawiskiem dodatnim. Należy to zapisać na konto niestrudzonej pracy nauczycieli i coraz ściślejszej współpracy szkoła — dom. Liczne jednak zebrań ze szkół przykłady, niestety, nie napawają zbytnim optymizmem. Związka nierówny poziom wyników w dwóch pierwszych okresach nasuwa wiele refleksji.

Chyba właśnie we wrześniu, październiku i listopadzie dwójnoty powinny należeć do rzadkości. Uczniowie, po 2-miesięcznych wakacjach, zasilają w ławkach szkolnych wypoczęci i nauka powinna im przychodzić łatwiej, niż pod koniec roku. Tymczasem — jest odwrotnie. Oto w jednej ze szkół podstawowych na 1038 uczniów zanotowano w I okresie 538 stopni niedostatecznych, a w II — 393. Na pozór zjawisko najbardziej dodatnie. I tak też, niestety, traktuje je kierownictwo szkoły. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że w II okresie osiągnięto lepsze wyniki nauczania, ale dlatego, że współpraca z rodzicami była bardziej systematyczna. Ułatwiło to stosowanie jednokierunkowego systemu wychowawczego, jak również poznanie przez nauczycieli warunków domowych uczniów, ich słabostek, zainteresowań oraz możliwości rozwojowych. Brak właśnie tej łączności od pierwszych dni nauki spowodował, że I okres obfitował w stopnie niedostateczne.

Nie tylko wywiadówki

Na ogół kontakty szkoła — dom nie ograniczają się wyłącznie do wywiadówek. Na uwagi pedagoga, notowane w dzienniczku ucznia, rodzice odwiedzają szkołę, rozmawiają z wychowawcą, dyskutują, a ze wskazówek nauczycieli starają się wyciągać odpowiednie wnioski. Tak postępuje większość rodziców, dzięki czemu wielu uczniów udaje się podciągnąć w nauce, uratować przed drugorocznością.

Do każdej jednak szkoły uczęszcza pewien odsetek dzieci, których rodzice absolutnie nie chcą brać odpowiedzialności za ich wychowanie. Ta bierność, a często wprost wrogi

Anna Siekierska

Granice szkolnej odpowiedzialności

stosunek do spraw szkoły, powiększa zastępy dwojkowiczów.

Rodziców nie interesujących się sprawami nauki dzieci jest w każdej szkole garstka. W sumie jednak we wszystkich poznańskich szkołach podstawowych jest ich spora gromada. Dotychczas nie znaleziono skutecznego lekarstwa na przełamanie tej obojętności. W wielu przypadkach najbardziej, jak by się zdało, radykalne środki — zawiodły. Związka, kiedy w grę wchodzi rozbite małżeństwo, lub tacy rodzice, którym przydałoby się jeszcze lekcje o etyce i moralnym wychowaniu dziecka.

Kontakty od pierwszego dnia

Zignorancją rodziców niektóre szkoły radzą sobie poprzez zakłady pracy. Ten sposób ściągnięcia matki czy ojca do szkoły okazał się niezawodny. Szkoły traktują go jednak jako środek ostateczny i korzystają z niego rzadko, w wyjątkowych wypadkach. Najczęściej zaś wtedy, kiedy uczeń „złapał” już kilka stopni niedostatecznych. Dlaczego?

Zbyt liberalny stosunek nauczycieli do rodziców w I okresie odbija się później ujemnie na postępach w nauce. Uczeń, który kpi sobie z nauki w jej pierwszych trzech miesiącach, nie zawsze jest w stanie nadrobić zaległości. Wtedy nawet troskliwa opieka rodziców nie zdziała „cudu”. A jeśli jej w ogóle brak —

to nie ma mowy, by w ciągu dalszych okresów roku szkolnego wyzłaził wszystkie dwójnoty. Trudno przecież zadać od 12 lub 13-letniego dziecka tak rozwiniętego samokrytycyzmu oraz poczucia odpowiedzialności, by samo zrozumiało swój błąd i z własnej woli zabrało się do rzetelnej pracy.

Eliminowanie stopni niedostatecznych nie jest zadaniem łatwym. Natomiast na przykładzie szeregu szkół można stwierdzić, że systematyczna walka z dwojkami przynosi dobre rezultaty, ale pod warunkiem, że kontakt z rodzicami, przede wszystkim słabych uczniów, nawiązany jest od pierwszego dnia nauki i trwa bez przerwy do końca roku szkolnego. Im więcej będzie tych wspólnych spotkań i dyskusji — tym lepsze będą wyniki.

Nauczyciele nie mają obowiązku przyjmowania na swoje barki całej odpowiedzialności za wychowanie młodego pokolenia.

Ten ciężar spada również na rodziców. Natomiast reakcja szkoły na każde wykroczenie dziecka czy jego opuszczenie się w nauce powinna być natychmiastowa. Informowanie rodziców o takich przypadkach należy jak najbardziej do kompetencji wychowawców. Jeśli środki zaradcze stosowane będą od pierwszego dnia nauki, to na pewno uzyska się równomierniejszy poziom — mniej też będzie dwojkowiczów.

Jak na dłoni

Dokończenie ze str. 1

w Łaszczynie, że to może być nie-dobrze! Dlaczego? Tego nie wiedzą. Ale to zjednoczenie, to nie oni wymyślili. Musi, że ktoś ma w tym interes.

A ma. Ma interes państwo, społeczeństwo. Ale największy w tym interes samych łaszczynian, izbieczan, sarnowian. To wie agrom, kierujący produkcją w Łaszczynie — Jackowski. I przewodniczący Jędrkowiak. Spytajcie inwalidę — stróża, doświadczonego człowieka — Krzyżosiaka. Jest też za. Za połączeniem.

A kto przeciw? Prawdę mówiąc — nie wiadomo. Jakies szwagry, pociotki i kumple z „obozu” dawno obalonego zarządu. Paru, co to raz

w te, raz we wte, w zależności kto im w tej chwili do ucha gada.

Wiosna na karku, czas ucieka, łaszczynski agromon kurs dla kierowników produkcji kończy, urzędnicy „od forsy” się denerwują — komu te tysiące, a w Sarnówce, Izbiecach, Łaszczynie cichutko, spokojnie. Jakby to nie o ich przyszłość chodziło, jakby rzecz całą można załatwić na gębę, gdzieś w podwórkowej pogawędce.

Czarne BMW z Bronisławem Lutym znika za zakrętem. Myślę: w Łaszczynie powstał krajowy ośrodek szkolenia agromonów. Fachowcy z kolektiwów rolnych całej Polski tam się dokształcają. Oni widzą jak na dłoni celowość łączenia i spe cjalizacji spółdzielni.

A może by pomogli miejscowych przekonać? Nie samą teorią ludzie żyją.

PIOTR ŻYCKI

podróż

Dokończenie ze str. 3

— Nie szkodzi. Słyszysz to już po raz drugi w ciągu godziny. Pani ma silne, żelazne nerwy.

Zasmiała się serdecznie i rzekła:

— Czuje się pan nieszczęśliwy. Dlatego, że ja nie śpię. Prawda?

— Nie. Nie wypada mi tak mówić w obecności pani.

Po chwili dodał:

— Nikt tutaj, nie chce spać. Żaden człowiek nie ma więc czystego uczucia szczęścia. Mąci je strach — oczekiwania na następny dzień, że utraci się spokój za pierwszym zakrętem. Za najbliższą stacją, że spotka się innego człowieka, który podobny jest do nas i wtedy... Mówię rzeczy śmieszne i oczywiście. Pomysł pani, że chce ją zahypnotyzować.

— Wygaduje pan straszne rzeczy. Tak mówią ludzie zli albo o chorej wyobraźni. Ludzie o nieczystym sumieniu. Wieczni nieszczęśliwcy.

— Przepraszam — powiedział Henryk. — Znadto się rozgadałem. „Już ją coś zaczyna niepokoić” — pomyślał. — Straszne rzeczy powiedziała pogardliwie, ale w jej głosie brakło pewności. Ona boi się bardzo czegoś”.

Czuł bicie serca i suchość w ustach. Był podniecony. Pomyślał, że wypił za dużo wódki. Przypomniał powieki. Usłyszał, że ktoś ciężko stąpa po korytarzu. Potem ucichło. Doleciał go jakiś bliski szepot, ale słów nie rozumiał. Był bardzo zmęczony. Otworzył z trudem oczy, spojrzał na nią. Zapłtał o coś. Ona uśmiechała się do niego i coś odpowiedziała. Myślał tylko o tym, że jeśli zamknie oczy, to może się zdarzyć coś złego. Miał zwyczaj mówienia przez sen, krzyczeć i płakać. Bywały też noce, kiedy sam wymyślał sobie niestworzone historie, leżąc w łóżku bezsenne. Ale zapomniał o nich szybko, bo były nierealistyczne. Jednak zdarzały się noce, kiedy pamięć zawodziła go zupełnie. Odcinał się od przeszłości i wtedy czuł się podobny do zagubionego w mieście psa bez własnego podwórza i łańcucha na szyi.

Nagle przypomniał sobie, że chciał nie zabić człowieka, ale pragnął kiedyś bardzo — śmierci Marii. Próbował z ogromnym wysiłkiem o tym nie myśleć.

GERARD GORNICKI



Ilustr. Ewa Piuska

Przemysław Bystrzycki

Johnie Walker

Właściciel baru jest w W. Brytanii osobistością szanowaną. Jego opinia o obywatelu cieszy się miłym wianem. Nic dziwnego. Bar tamtejszy niewiele ma wspólnego z knajpą w naszym pojęciu. To miejsce towarzyskich spotkań, teren wymiany poglądów, zabawy. Skupia swych zwolenników wśród zatłoczonych salek: rzucanie strzałek do drewnianej tarczy, przesuwanie metalowych krążków po powierzchni specjalnego stołu podzielonego na pola; osobny pokój dla pań rozbrzmiewa głosami niewiast.

W dużym mieście posiada niekiedy kilka pokoi z osobnymi wejściami od ulicy. Specjalne drzwi zarezerwowane dla członków klubu, towarzyskiego koleżanki, które co jakiś czas schodzi się przy szklance piwa. Zjeść natomiast nie tam z zasady nie dają. Zamykany bywa o dziesiątej lub wpół do jedenastej wieczorem, otwierany około szóstej po południu, w zależności od zwyczajów panujących w danej dzielnicy miasta.

Pełne uroku są prowincjonalne „pub”y, położone często u rozstajów dróg. W oknach kolorowe witrażyki, na ścianach myśliwskie trofea, pamiątki.

Bar tamtejszy — to instytucja społeczna całą sobą, niekiedy o starej tradycji. Byłem w Nottinghamu w „prawdopodobnie najstarszym barze w tym królestwie”, jak ogłaszał napis. Rok założenia — 1182, bagatel! Wykuty w skale, na której wznosi się zamek pamiętający czasy Robin Hooda. W podziemnych korytarzach drażnionych w litej epoce — olbrzymie beki dębowe, dzisiaj już puste. Cóż — tyle pokoleń. Ze szczytów sufitu zwisała pajęczyna z okresu wypraw krzyżowych. Podobno Ryszard Lwie Serce zażywał tutaj kuraczu przed wyruszeniem do Ziemi Świętej. Zażył tam też kuraczu choć nie wyjeżdżałem przeciwnie zym Saracenom...

Ale miałem o piwie. Angielskim. A więc tzw. lager, robiony, jak Anglicy twierdzą uparcie, na modłę kontynentalną; dość drogi. Kilka

rodzajów małoważnych cienkuszów, oczywiście też „Guinness” — ciemne, dość ciężkie, stosowne dla karmiaczy matek, bardzo reklamowane (Guinness is good for you); to wszystko pite bywa w „pub”ach na stojąco, chociaż i siadać można; w tym sposobie konsumpcji, uciążliwym dla nas — posiedzeniary, jest myśl. Sądzę, iż obok łatwiejszego sposobu nabycia żyłaków, posiada się do doskonałą kontrolę nad sobą.

Anglicy pijają sporo. Frym wiodą tu Irlandczyki, jedyni widywani w dobrych humorach na ulicach Londynu. Powiedzenie: „Pijany jak Irlandczyk” znajduje, niestety, coraz szersze obywatelstwo. Sami Anglicy upijają się rzadko. Na jednego mieszkańca przypada tam jednak nie mniej trunku niż u nas.

Polaka za to rażą dziwne nawyki mieszkanka przypada tam jednak nie mniej trunku niż u nas. Polaka za to rażą dziwne nawyki mieszkanka przypada tam jednak nie mniej trunku niż u nas.

Instytucja osobliwa, nieznaną gdzie indziej, choć naśladowana tu i ówdzie — są „party”. Spotkania towarzyskie, organizowane dla celów zabawowych, zapoznawczych, prezentacyjnych lub interesowych. To forma naszych przyjęć, pojętych najszerzej, całkiem wszak od naszych przyjęć odmienna. Przede wszystkim i tutaj mało się siedzi. Na biesiadny stół nie nakładem się ani razu. Sporo chodzenia, ilość napojów zależy od celu spotkania, zwyczajów gospodarza i rodzaju gości. Takie zejście się trwa niezbyt długo: dwie — trzy godziny; nie ma uciążliwego opilstwa do białego rana. Party organizują też dla siebie ludzie młodzi, organizują kręgi profesjonalne, w czasie drugiej wojny światowej dostojne damy spod znaku „Imki” robiły to dla żołnierzy.

Dawniej w trzy dni po zaproszeniu listownie dziękowano za udział. Mówiono mi, że ostatnio ten kurtazyjny zwyczaj zanika. Widać i w państwie duńskim, tfu — chciałem rzec angielskim — nie wszystko najlepiej się dzieje...

Są też tzw. „bottle-party”, rodzaj popijaw, na które uczestnik przynosi ze sobą butelkę drogiego tam alkoholu. Nie wiem czy to wymysł Polaków, czy zwyczaj ten wyrósł w środowisku Tubylców. Ale coś mi się jednak wydaje, że chyba nasi...

Gorzelniami i barami usiana jest cała południowo-wschodnia Szkocja. Zacier pachnie w powietrzu wokół Kirkoldy (miejscowości nad morzem) na milę. Pachnie piwny i ten od whisky. Który mocniej — trudno powiedzieć. Dla mnie mocniej na pewno ten drugi. Ten nieuległego piechura, „Johnie Walker” (p. poprzedni felieton), co to od przeszło stu lat już maszeruje i stale idzie mu się bez zarzutu...

Eugeniusz Pauksza

Nowa proza polska

Zawsze tak bywa. Przez pewien okres nie niemal nie zjawiało się na półkach polskich, dopiero ostatnie tygodnie przyniosły od razu parę dzieł nowości.

Najwięcej tytułów przynosi zawsze wierny polskiej literaturze współczesnej „Czytelnik”. Z uznaniem należy przywitać wznawienie w serii „Biblioteki Po-wszechniej” antologii „POLSKA NOWELA WSPÓŁCZESNA”, przynoszącej wybór 21 utworów pisarzy polskich z okresu powojennego, różnorodnych tematycznie, odzwierciedlających wszechstronność zainteresowań naszej prozy. Nareszcie też ukazały się długo oczekiwane, znane niektórym z publikacji w „Przeglądzie Kulturalnym” doskonałe reportaże Tadeusza Brezy „LISTY HAWAŃSKIE”, płon wyprawy na Kubę w początkach minionego roku. Bardzo to plastyczny obraz pasjonującego, egzotycznego kraju i jego ludzi w okresie zasadniczych w nim przeobrażeń, zarazem zaś prawdziwy majstersztyk pisarski.

Do spraw narosłych przez czas okupacji długo jeszcze wracać będą pisarze w rozrachunkach z przeszłością i tropieniu jej śladów we współczesności. W nowej swojej powieści „POJEDYNEK Z PAMIĘCIĄ” Barbara Nawrocka, usiłuje ukazać złożone psychologicznie zagadnienia poczucia obojętności ukradającej się w życie małżeństw spotykających się ze sobą ponownie po przymusowej rozłące. Oddalenie wzmagalo tęsknotę, ale i zezwalało na analizę przeszłości. Pojawiają się nowe problemy, stare ukazują się w innym świetle. Do przeszłości nie znajduje się już drogi powrotu... Poleć także pragnąłbym ciepło „GODZINĘ ZERO”, nową książkę Andrzeja Szczypiorskiego, pisarza, którego pasjonuje moralna problematyka spraw, związanych bezpośrednio z czasem okupacji, konfrontacja postaw tamtego okresu z widzeniem tychże zagadnień dzisiaj. Szczypiorski sięga tym razem po najbardziej trudny zakres postaw ludzi, którzy z sobą się już zetknęli, w charakterze myślicieli — prześladowcy i ofiary — zgonionej zwierzyzny. Jedni pragną wszystko przekreślić, o wszystkim zapomnieć, drudzy pamiętają i muszą pamiętać. Dla log mordercy — Mahlera i reprezentującego stronę ongiś prześladowaną — Leona, to jedna z ciekawszych konfrontacji psychologicznych w literaturze analizującej niedawną przeszłość.

Najlepszy nasz marynista — Stanisław Maria Saliński odzywa się stanowczo zbyt rzadko. Na „ANNĘ Z KAMIENIA”, dalszy

ciąg „Hieroglifów” czekaliśmy długo. Ale warto było czekać na tę pasjonującą, przyciągającą po wiewem dalekich mórz i lądów, sensacyjną w najlepszym tego słowa pojęciu powieść z dziejów walk proletariatu Władysława w okresie rewolucji. Obraz bazy partyzanckiej w Mongugaju, do której przedarł się jeden z torpedowców, dzieje walk zbrojnych na lądzie i wodzie, a przy tym bardzo głęboko potraktowane losy osobiste bohaterów utworu, stwarzają urzekającą całość, ukazaną z dużą kulturą i przy świetnym opanowaniu pisarskiego warsztatu.

Do nowej powieści Stanisława Lema „POWROT Z GWIAZD”, nie trzeba chyba zachęcać wielbicieli twórczości tego pisarza. Treścią utworu są przeżycia kosmonauty wracającego na Ziemię po stu z górą latami, znajdujące go tam społeczeństwo, w którym romantyzm początków astronautyki jest daleką przeszłością, które żyje w sposób zautomatyzowany, odmienny ale i przerażliwie w swym zautomatyzowaniu smutny.

Z książek trudniejszych w odbiorze, ale interesujących swą warstwą psychologiczną, ukazały się dwie pozycje. Jedną, to Juliusza Żuławskiego „CZAS PRZESZŁY NIEDOKONANY”, opowiadania o intrygującej fabule, subtelne, delikatne, w których motywem przewodnim staje się tropienie filozofii czasu, jego wpływu na kształt ludzkich losów, wzajemnej ich współzależności. Rzadko się spotyka podobnie głęboką kulturę słowa i umiejętność śledzenia niuansów psychologicznych. Ten sam klimat tropienia postaw psychicznych przynosi głośna już powieść Wilhelma Macha „GORY NAD CZARNYM MORZEM”, o konstrukcji kunstownie pogmatwanej, gdzie wątkom fabularnym towarzyszy i refleksja i komentarz i śledzenie nurtu własnej świadomości, analiza procesu twórczego. Niewątpliwie utwór to dyskusyjny, ale przez samą swą dyskusyjność już nieprzeciętny.

W „Książce i Wiedzy” ukazała się przed paru dniami powieść Bronisława Wiernika „NIEKTÓRE PRZYGODY ELZY R.”, utwór oryginalny w swej warstwie wspartej o ścisłe realia, pasjonujący atmosferą przygody przez wielkie P, ukazujący zaś po prostu fragment życia Elzy R., kobiety o wielu imionach, pełniącej funkcję łączniczki centralnych władz partii komunistycznej Polski, kursującej z miejsca na miejsce jak Europa długa i szeroka, fragment życia, w którym obok poczucia służby nie brak i spraw osobistych, najbardziej ludzkich.



5-lecie „Polityki”

O jubileuszu „Polityki” donosiliśmy już w piątkowym wydaniu „Głosu”. Warto jednak zażyczyć się przy omawianiu „uroczystości” na felietonie redaktora naczelnego Mieczysława F. Rakowskiego. Piszemy on m. in.:

„Należymy do ludzi realnie patrzących na życie. Wiemy, że jest jeszcze wiele do zrobienia w naszej ojczyźnie, by socjalizm kojarzył się bez reszty u każdego człowieka pracy ze sprawiedliwością społeczną i dobrobytem.

Naszym dążeniem jest wydobywanie na jaw prawdy, ukazywanie stanu faktycznego, sukcesów i braków, czynów godnych naśladowania, a także potępienia... Nie prosząc o taryfę ulgową — pamiętamy ołbrzymie odpowiedzialności tych, którzy mogą upowszechniać swe poglądy w wielotysięcznych nakładach (nakład „Polityki” wynosi obecnie 11.910 egz. — dop. Lektora) — pragniemy przypomnieć, że nie ma ludzi nie popełniających błędów i pomyłek. Rzecz najważniejsza jest odważa przyznania się do popełnionego błędu i umiejętność naprawy... Naszą zasadą jest stałe niezadowolnienie z tego co już osiągnęliśmy. Uważamy,

że dobre pismo to cel, do którego musimy stale zmierzać i który jest nader trudny do osiągnięcia”.

Od siebie dodajmy, że „Polityka” konsekwentnie realizuje te założenia, czego dowodem jest każde jej kolejne wydanie.

Welna — żywioł niebezpieczny

Życie gospodarcze publikuje na pierwszej stronie artykuł Jerzego Urbana, poświęcony głośnej aferze welnianej. Autor przedstawia mechanizm działania przestępców, którzy przez dzieła lale bezkarnie okradali społeczeństwo z angielskiego runa, pokazuje powiązania przestępczej kliky, za którą stała społeczna siła silny:

„Bohaterowie procesu — byznesmeni i urzędnicy nie poznali się w chwili, kiedy wspólnie zamierzali kradzież: Znali się już uprzednio lub też znali wzajemnie do siebie „dojścia” i wiedzieli o sobie nawzajem dostatecznie dużo, żeby śmiało proponować współpracę przy wielkiej kradzieży... Sygnałem alarmowym wydaje się być postawa części świadków (w procesie — dop. Lektora) i cały klimat otaczający przestępstwo tego typu... Faktem jest, że załoga która wiedzieć musiała o tym, że przerabiała na lewo dwie tony surowca — nie mogła zostać bezpośrednio przekupiona, przypuścmy dodatkowym wynagrodzeniem, za dodatkową pracę (praca przy kradzieży surowca nie była uwidoczniona w kartach pracy)... Skąd jej solidarne milczenie?”

Afera welniana to już nie dzwonek lecz dzwon alarmowy. Tepienie tego rodzaju przejawów przez wymiar sprawiedliwości, prokuraturę i organa MO — to jeszcze nie wszystko. Najwięcej do zrobienia mamy wszyscy — całe społeczeństwo. Jeżeli wokół przestępczych mafii nie stworzymy atmo-

sferę potępienia, jeżeli sami nie zaczniemy traktować gospodarczych złodziei jak bandytów okradających nasze własne mienie, ani sądy, ani prokuratury, ani milicję nie zdolają nas przed tymi bandytami uchronić.

Starsi nie są winni?

Na łamach Tygodnika Demokratycznego dr Andrzej Jacewski publikuje artykuł pt. Zanim będzie za późno... poświęcony problemom wychowania seksualnego dorastającej młodzieży, problemom — jak to określa autor — przygotowania do życia 17-latków:

„Sprawy płci, życia płciowego — to jedna z najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych stron życia ludzkiego. I właśnie tę dziedzinę życia zepchnięliśmy w konspirację... Nikt nie wpaja kultury seksualnej, bo tych tematów powszechnie się nie porusza”.

Na poparcie swych wywodów autor zamieszcza wypowiedź dziewczynki z piątej klasy szkoły warszawskiej:

„Chciałabym wiedzieć: a) co to jest mieszcza, b) jak rozwija się dziewczynka? Mamusi o to wstydzę się zapytać, zresztą mamusia stale jest zapracowana i nie ma czasu mi tego mówić... Piszę chłopcu z piątej klasy: Ja dowiedziałem się o tym w pierwszej klasie... Chłopcy starsi mówili. Rodzice nie rozmawiali ze mną na ten temat. Mówili „jak dorosną, to się dowiem”.

Dr A. Jacewski, który jest kierownikiem Międzyszkolnej Przyszłości Lekarskiej w Warszawie pisze dalej, że kultura seksualna tworzy całe środowisko. Autor oskarża starsze dorosłe społeczeństwo, które „nie ma czasu” narażając w ten spo-

sób młodzież na niezdrową ciekawość zaspokajaną w sposób wulgarny przez niewiele starszych rówieśników.

„Młodzież — czytamy — to nie pojęcie jednoznaczne. To i 15-letnie prostytutki (takie są), i cyniczni bandziory, ale i mądry, wrażliwy, myśliciel chłopcy i dziewczęta. Inni niż my, niż my byśmy chcieli może. Lepsi? Gorszy? Często zagubieni, beznadni w swej postawie „niezależnych”, nie od nas niepotrzebujących”.

Autor trafił w sedno sprawy. Dotychczas zwykło się dyskutować o młodzieży w oderwaniu od starszego społeczeństwa. Zapominano często, że na jej postawę wpływa przede wszystkim sposób wychowywania przez dorosłych. Oskarżano się przy okazji młodzież. A czy starsi nie są winni?

Przed zakrętem

Takim tytułem opatrzył Kazimierz Wyka artykuł opublikowany na łamach Przeglądu Kulturalnego. Artykuł ten poświęcony jest krytyce literackiej. Autor porównuje krytykę do molinarnego. Kiedy tramwaj „wysiadł”, wszyscy mają pretensje do molinarnego. Kiedy powieść znajduje się w stanie kryzysu, pada hasło: „krytyka nie spełnia swojego zadania”. Wyka pisze:

„Młody prozaik przypominał we „Współczesności” zdanie Hemingwaya, że generalnie biorąc, krytycy są to wszy na kolnierzu literatury. Na pewno! Tylko w imieniu owego robaństwa pozwolę sobie zauważyć, że dla wszy nie jest rzeczą obojętną, czy skazana została na dogonny żywot na kolnierzu Hemingwaya czy też owego prozaika i jego kolegów”.

LEKTOR